



Piotr Piliński i Beata Schimscheiner

Fot. Wiesław Fafara

Farsowo i erotycznie

Z JERZYM FEDOROWICZEM, reżyserem „Kliniki prywatnej” w Teatrze Ludowym

- Przyzna się Pan szczerze, dlaczego po raz pierwszy w życiu reżyseruje farsę, do tego erotyczną, zaznaczając na afiszu: dozwolone od lat 18?

- Odkąd zostałem dziadkiem, prawdopodobnie będę reżyserował tylko lekkie rzeczy. Nie mogę już robić niczego smutnego. A mówiąc poważnie, jest kilka powodów. Po pierwsze - bardzo spodobał mi się ten tekst; jest niezwykle zabawny. Jego polską prapremierę przygotował Jerzy Bończak w teatrze „Komedia” w Warszawie. Po drugie - chciałem dać nowohuckiej publiczności trochę śmiechu, żeby nie musiała po niego jeździć „aż” do centrum Krakowa. A po trzecie, jak każdy teatr, na nadmiar pieniędzy nie narzekam, więc liczę na to, że jeśli uda nam się ta realizacja, to będą godziwe wpływy do teatralnej kasy. Uznałem też, że jak wyreżyseruję sam, to będzie taniej...

- Bo jako dyrektor teatru nie zwykł Pan walczyć o honorarium?

- To oczywiście. Ale, co najważniejsze, mam w zespole grupę zdolnych aktorów, dla których warto ryzykować całą tę zabawę. Główną rolę gra Beata Schimscheiner, jej sceniczną przyjaciółkę - Marta Bizoń, a partnerują im panowie. Oni co prawda nie mają jeszcze brzuchów i tzw.

wieku farsowego, bo są młodzi, ale za to zdolni. Role napisane są fantastycznie, więc stanowią wielkie wyzwanie dla aktorów. Jak to w farsie bywa, temat jest męsko-damski, rzecz dzieje się w łóżku i w pobliżu łóżka. Ta sztuka jest w pewnym sensie odwrotnością „Mayday” - atrakcyjna kobieta, jej przyjaciółki, kochankowie, ich żony, spotykają się niespodziewanie, udając przed sobą, każdy kogoś innego. Wyobraża sobie pani, co się dzieje na scenie?

- Farsowy zawrót głowy.

- Albo i więcej.

- Zna Pan przepis, jak dobrze zrobić farsę?

- Nie wymyślę nic ponad to, co powiedział mój przyjaciel Janusz Szydlowski: błyskotliwy humor, dobre tempo, aktorstwo na najwyższych obrotach, organiczne i prawdziwe. W farsie sprawdza się zasada: jeśli jest dobrze zrobiona, to wydaje się to oczywistością, jeśli źle - jest totalną kląpą. Jedno jest pewne: tekst pary znakomitych angielskich autorów odniósł sukces na całym świecie, podobnie jak jego sceniczne realizacje.

- A jak Pan dotarł do tej sztuki, o której w „Windsor Express” pisano - zniwelająca?

Dokończenie na str. 26

Farsowo i erotycznie



Dokończenie ze str. 25

- Przysłała mi go Elżbieta Woźniak z Londynu, podobnie jak „Wieczór kawalerski” i „Błysk rekina”, grane w naszym teatrze z powodzeniem. I muszę przyznać, że mimo kilkutgodniowej pracy nadal ten tekst bardzo mnie bawi. Dodatkową dla mnie radością jest fakt, że przy tym przedstawieniu zadebiutuje kilka młodych osób: ruch sceniczny układa Monika Myśliwiec - tancerka z krakowskiej Opery, zaś przy efektach świetlnych pomaga Mikołaj Górecki. Świetnie pra-

cuja, nawet wtedy, gdy ja, między próbami, ucinam sobie krótką drzemkę w gabinecie. Mam nadzieję, że uda nam się ta realizacja, że nie zawiedziemy naszej publiczności i naszych sponsorów - krakowskiej Vistuli i Mostostalu, bez których nie byłoby tego przedstawienia.

- Bardzo Pan spoważniał mówiąc o tym.

- Bo to jest bardzo poważny temat: zachować w farsie klasę i granice dobrego smaku. Bo chcemy tę farsę zrobić w sposób szlachetny. To jest trudny gatu-

nek do grania i reżyserowania, choć niewątpliwie szalenie rozwijający aktorów. Moim marzeniem jest wystawienie znakomitej polskiej farsy.

- Nie znalazł jej Pan dotąd?

- Nie, bo jej nie ma. A gdyby była, to natychmiast zrobiłby ją specjalista od tego gatunku - teatr Kwadrat.

- Znając Pański temperament myślę, że byłby Pan szybszy.

- Wszystko zależy od tego, jak wyjdzie mi to przedstawienie. Jeśli nie - to nigdy więcej farsy nie ruszę.

- A zatem odpukujemy?

- W nie malowane...

Rozmawiała:

JOLANTA CIOSEK

John Chapman, Dave Freeman, „Prywatna klinika”, reżyseria - Jerzy Fedorowicz, scenografia - Elżbieta Krywsza, występują: Marta Bizoń, Magdalena Nieć, Małgorzata Krzysica, Jagoda Pietraszkówna, Beata Schimscheiner, Tadeusz P. Łomnicki, Piotr Piliński, Tomasz Schimscheiner. Premiera 9 II, godz. 19, Teatr Ludowy.

Dziennik Polski

KRAKÓW

DZ. Nr

40

16-02-2002

Kulturałki: Śmiech i gesty ciała

No i mamy bohatera narodowego. Idola. Znowu pokazaliśmy światu, że Polak potrafi. I wcale nie idzie mi o Małyszka. On to cienias. Ten, o którym myślę, odbija się z innego progu – od Krzaklewskiego, od Leppera. To i wlatuje w niebiosy. – *Pan odwołuje się do czegoś niezziemskiego?* – pyta dziennikarz. – *Nie wiem, czy powinienem o tym mówić, ale tak – pada odpowiedź. – Pan powinien –* doprasza się wywiadowca. A mnie się przypomina anegdota, jak to Antoni Słonimski jako prezes literatów przyjmował jakąś delegację radziecką. Spotkanie trwało długo, goście wygłaszali nudne referaty, i w pewnym momencie przewodniczący delegacji zwrócił się szeptem do Słonimskiego: „Przepraszam bardzo, panie prezesie, gdzie mógłbym się wysuszyć?”. „Pan – wszędzie” – pada natychmiastowa odpowiedź.

Wróćmy jednak do Idola, który wyznaje: – *Jestem bardzo głęboko niewierzący, ale nie materialistą w sensie filozoficznym. Myślę, że Bóg potencjalnie jest możliwy i rozpaczliwie potrzebny. Trzeba go będzie po prostu kiedyś stworzyć. On chce być stworzony. Kiedyś może to nastąpi.* Dalej jest mowa o boskim geście, jak to miałby wyglądać, po czym Idol gładko rzecz kwituje: – *Skoro mówimy o boskości, to wróćmy do mnie.*

Tak. Skoro mówimy o gestach, to niech padnie nazwisko Idola – Piotr Tymochowicz. Tego, który chlępi się, że przerobił Leppera na posła, że to jego najzdolniejszy uczeń (coś mi się z Pacem i pałacem kojarzy tym razem) i że zrobi z niego prezydenta. Ostatnio też podobno pracuje dla Leszka Millera, co by wyjaśniało przyczynę spadku notowań rządu (casus Krzaklewskiego przykładem, do czego prowadzą porady Piotra T.). No i pokazuje się z Niną Terentiew. W co ją przerobi – Bóg (jeśli Piotr T. go stworzy) raczy wiedzieć. Niemniej prowadzą się oboje po salonach warszawki. Jak na razie Nina T. lansuje Piotra T. ofiarowawszy mu program telewizyjny. Ale po iluś tam lekcjach „języka ciała” kto wie – może i zabytkowa pani redaktor od wysp bezludnych, jak nazwał niedawno dyr. Ninę T. Paweł Głowacki, awansuje?

Na tym wątek szarlatania i polityki kończę, wszak już w Biblii zapisano: *Nie odpowiadaj głupiemu według głupstwa jego, abyś nie był jemu podobny.* Zresztą niedawno Tomasz Lis napisał w *Magazynie „GW”* wystarczająco celnie o tym naszym *Dyżmie politycznego wizerunku* i jego metodach: *Całość godna kogoś, kto wie, że kaszłącemu dziecku trzeba podać syrop, i na podstawie tej wiedzy kreuje się na profesora pediatrii.*

A propos syropu dla kaszłącego dziecka. Uległem manipulacji. Dyr. Jerzy Fedorowicz w Teatrze Ludowym farsę „Prywatna klinika” wyreżyserował tak lisio, że ja, nie mogąc się już śmiać – bo śmiech, w przeciwieństwie do śmieszności ludzi, ma swe granice – musiałem swą niemoc odreagować. Już Nietzsche rzekł: *Nie gniewem, lecz śmiechem się zabija.* I tak stałem się narzędziem zemsty dyrektora „Fedora”, odreagowując na sąsiedzie, którego on celowo posadził koło mnie. Intryga okazała się znacznie lepsza niż syrop dla kaszłącego dziecka. Nowohucką farsę polecam zatem najgoręcej. Idźcie – najlepiej sadzając obok siebie wroga. Albo nie lubianą żonę czy męża. Nieważna płeć, ważne uczucie.

I zdrowy śmiech. Dlatego tak ożywcza jest ta farsa i tak cenne są groteskowe spotkania w Grotesce, kiedy to politycy śmieją się z samych siebie albo swoich konkurentów. Zabawa, jaką po raz kolejny zafundował dyr. Weltschek, raz jeszcze pokazała, że politycy dzielą się na tych, którzy potrafią się śmiać z siebie, i tych, którzy nę potrafią. W ogóle. I nawet z widowni obserwując wice swoich wice są akustycznie wyciszeni.

A śmiech to najwspanialszy gest ciała, choć bywa, że trzeba go jeszcze wesprzeć. Gestem Kozakiewicza.

WACŁAW KRUPIŃSKI

Nie obudził mnie widok bezzębnego uśmiechu Kuby. Rozpruwacza ani Andrzej Gołota, palcem rozgniatający orzechy kokosowe. Śniłem dalej. Przetrzymałem King Konga, który wysysał krew z płetwala błękitnego oraz tulącego się do mnie mistrza sumo. Te i sto innych koszmarów przetrzymałem, ale gdy zobaczyłem dziwnie patrzącego na mnie redaktora Wacława K., gdy w ciemności dostrzegłem wolno unoszącą się nade mną jego pięść kościstą i lśniącą niczym kafar – poddałem się. Redaktora Wacława K. nie da się przetrzymać, zwłaszcza jeśli ma on – jak w moim śnie – szyję okutaną wytworzoną skórą z lisa. Zerwałem się z krzykiem, ale na jawie nie było łez. W lewym kolanie urosła mi dynia z Czarnobyli. Rany boskie! To była ostatnia refleksja lekarza (40 lat praktyki, 10 lat stażu w szpitalu w nowojorskim Harlemie). To zdołał wycedzić, nim zemdał.

Niedzielny świt, mój pryncypał z gejowskimi akcesoriami wokół szyi nawiedza mnie we śnie, rzepka kolanowa w totalnej rozsypance, stary lekarz na ziemi. Cóż się wczoraj stało?! Przecież ja tylko byłem z redaktorem Wacławem K. w teatrze, byliśmy w Ludowym na premierze farsy „Prywatna klinika” – i tyle. Czyżby dziś w teatrze bili krytyków? A jeśli nawet, to dlaczego nie pamiętam, że bili? Co się, do diabła ciężkiego, wydarzyło, że mam dynię w nodze? Idźmy tropem lisa. On był w spektaklu. Może lis coś wyjaśni?

Wytworna, kompletna skóra z lisa, a obok Tomasz Schimscheiner w roli Ryszarda. Ryszard jest weterynarzem o, by tak rzec, rozdartym sercu.

Paweł Głowacki

Wyznania szczerzego entuzjasty teatru

Dynia w kolanie

Z jednej strony wielbi zwierzęta, z drugiej – nasz narodowy napój orzeźwiający. Prawdę rzekłszy, Ryszard jest koneserem urwanych filmów i tylko czasem jest z nami. I właśnie w jednej z takich nielicznych chwil, tuż po tym, jak kolejny urwany seans się skończył, Ryszard zauważa wiszącą na wieszaku skórę lisa, czuje w sobie zew jakiejś weterynaryjnej przysięgi Hipokratesa i rusza z odsieczą. Ryszard chce pomóc zemdlonemu lisowi, chce ocalić biedne zwierzę. Gdybyście to widzieli! Gdybyście widzieli, jak Schimscheiner bada lisowi puls, jak mu robi sztuczne oddychanie, jak duma, czy nie zastosować metody usta-usta, wreszcie, jak sięga po środek ostateczny, po środek, który jemu samemu tyle razy w życiu ocalił życie, słowem – jak wkłada lisi pyszczek do szklanej pełnej naszego narodowego napoju orzeźwiającego, gdybyście to wszystko widzieli, to moglibyście mi to w szczegółach opowiedzieć, albo wiem ja mało pamiętam. Mało pamiętam, bo tży śmiechu zalewały mi oczy, a nieludzko skacząca przepona trzeszczała w szwach. Byłem wtedy taki, jak cała widownia – umarli z frenetycznego rechotu. Tak jest, gdy Schimscheiner reanimuje lisa, gdy mu się nad lisem burzy ta jego niebywała

zaczeka, w której wygląda jak Louis de Funes w esesmańskim hełmie – jest właściwie po spektaklu. Partnerki Schimscheinera mogłyby spokojnie iść na kawę do bufetu. Nie da się już dalej oglądać. Na widowni zwłoki ludzi, co się zaśmiało na amen. Doprawdy, Ryszarda Schimscheinera to jest farsowy majstersztyk. Ale co mi z tego, skoro wciąż nie wiem, skąd mam dynię w lewym kolanie. Zaraz, zaraz... A kto siedział po mojej lewej? Czy aby nie redaktor Wacław K.? Tak – on. Czyżby więc... Ale powoli, powoli. Nie szarżujmy.

Siedzieliśmy, napawaliśmy się tą kojącą reżyserską prostotą, która Jerzemu Fedorowiczowi nie pozwoliła zgubić morderczych smaków fenomenalnie napisanej farsy. O czym jest „Prywatna klinika”? A po co ci to wiedzieć? Wiedz tylko, że jak na przedstawienie pójdziesz, to poczujesz, że za moment polegniesz najłżejszą w twym życiu śmiercią. A poza tym – nie zdradza się kulis dowcipu. Siedzieliśmy więc, spektakl nabierał tempa nie z tej ziemi, na widowni puszczały premierowe lody. Rzecz stawała się zdumiewająca jak kokos pod paznokciem Gołoty, ciepła jak pieszczota mistrza sumo, smaczna jak płetwal błękitny w zębach King Konga i bezpieczna jak ulepiony z sen-

nej mgły uśmiech bezzębnego Kuby Rozpruwacza, który to Kuba, właśnie dlatego, że śniony, może ci naskoczyć. Faceci na widowni targali koszułki, kobiety tarmosiły własne kunsztowne kofafiury, wszyscy, bijąc się na odlew po plecach, walczyli o oddech. Schimscheiner ratował lisa i wtedy... Tak – wreszcie sobie przypominałem!!!

Pamiętam ten wściekły skowyt rechoczącego redaktora Wacława K. Pamiętam, jak sufit teatru zaczął od tego ryku falować. Pamiętam jak jego okularów, które miażdżył bezradnymi ze śmiechu szczękami i jak zwykle nieskazitelnie obute nogi jego w powietrzu pamiętam, nogi, którymi dobił i tak już nieżywą niewiastę, co siedziała przed nim. Nade wszystko – odnalazłem przyczynę mej dyni. Oto koścista i niczym kafar lśniaca pięść zawisa nade mną. Tak jest, Wacław Rozpruwacz chce mnie zabić, żeby przeżyć, ale ze śmiechu nie trafia w mą głowę. Redaktorski kafar tnie powietrze, słyszę morderczy świst... Wszystko jest już jasne. Nawet bardzo jasne. I zaskakująco trafne. Czym bowiem jest farsa, jeśli nie walcem śmiechu, po przejeździe którego sprasowani widzowie nie nie pamiętają, ale żyje im się o tonę łżej, nawet z dynią w kolanie? Swoją drogą, mógłby redaktor Wacław K. pokusić się o umiar. Zwłaszcza w momentach kluczowych.

Teatr Ludowy. John Chapman i Dave Freeman „Prywatna klinika”. Reżyseria Jerzy Fedorowicz. Scenografia Elżbieta Krywsza. Muzyka Krzysztof Sz wajgier. Choreografia Monika Myśliwiec. Aranżacja świateł Miłkołaj Górecki.

IM POWAŻNIEJ, TYM ŚMIESZNIEJ

...czyli jak bohaterowie „Prywatnej kliniki”
bawią publiczność Teatru Ludowego

„Prywatna Klinika” wg Johna Chapmana i Dave’a Freemana w reżyserii Jerzego Fedorowicza to spektakl wystawiony w Teatrze Ludowym dopiero kilka razy. Najogólniej rzecz biorąc chodzi w nim o to, że w mieszkaniu pewnej atrakcyjnej kobiety powstaje niezwykle zamieszanie z udziałem jej kochanków, ich żon, jej przyjaciółki i byłego męża. Poważne tarapaty bohaterki układają się w ciąg śmiesznych sytuacji, toczących się w zawrotnym tempie, aż do szczęśliwego końca. Autorką scenografii jest Elżbieta Krywsza, choreografii Monika Myśliwiec, muzykę napisał Krzysztof Sz wajgier, a światłem operował Mikołaj Górecki. W spektaklu występują: Beata Schimscheiner, Marta Bizoń, Małgorzata Krzysica, Magdalena Nieć i Jagoda Pietruszkówna oraz panowie: Piotr Pilitowski, Tadeusz P. Łomnicki i Tomasz Schimscheiner.

WIDOWNIA PEKA ZE ŚMIECHU

– Farsa jest trudnym rodzajem dramatu, wymaga od aktora skupienia i błyskotliwości, szybkiego budowania tekstu, szybkich reakcji. Czasem wynikają z tego śmieszne sytuacje, choć największą zabawą i radością dla aktora jest to, że przede wszystkim ludzie dobrze się bawią. Tak, najbardziej cieszy nas reakcja widowni – mówi Piotr Pilitowski, jeden ze scenicznych kochanków Harriet. – Sami ze sobą bawimy się także, bo towarzyszy nam radość tworzenia, jak w każdej dziedzinie sztuki.

TRUDNY I ŁATWY DRAMAT

– Mnie drażni rozróżnianie dramatu na trudny i łatwy. Nie sądzę, by

kochanek w „Prywatnej klinice”, czyli Tadeusz P. Łomnicki.

NIE WOLNO SPODZIEWAĆ SIĘ, ŻE BĘDZIE ŚMIESZNIE

– To było moje pierwsze spotkanie z tym rodzajem sztuki. Słuchałem podpowiedzi kolegów i sugestii reżysera. Ważne oczywiście było to, by zachować naturalność. Tekst należało podawać w sposób swobodny, a przy okazji tworzyć postacie o ostrym rysie charakterologicznym. Najtrudniejsza rzecz to prostota grania – mówi Piotr Pilitowski. Myślę, że jedna z wielu recept na to, jak robić dobrą farsę jest taka: im poważniej, tym śmieszniej. Im my poważniej, bez dystansu podchodzimy do tych postaci, tym będzie to śmieszniejsze dla widza – dodaje aktor.



farsa była trudna – przynajmniej dla mnie taką nie jest. To raczej aktorstwo jest dobre lub złe, bez względu na to, co się gra. W farsie są inne okoliczności i jej bohaterowie mają inne problemy niż, dajmy na to, Makbeth. Makbeth walczy o życie, a bohaterowie farsy o swoje małe sprawy. Tam trzeba zabić, a tu trzeba jakoś wybrnąć z takiej lub innej sytuacji. Jedno i drugie jest ogromnie trudne. To tak, jakby kierowca prowadził tira albo samochód osobowy – jedno i drugie jest łatwe, kiedy umie się to robić – mówi drugi

NA CZYM DOWCIP POLEGA

– Cała trudność w farsie i komedii polega na tym, że wszystko z założenia powinno być śmieszne. Dążenie do tego, by ludzi za wszelką cenę rozbawić często kończy się katastrofą, zwłaszcza kiedy intensywnie się o tym myśli. Choć to banały i każdy o tym wie, nie zawsze osiąga się najlepsze rezultaty. Jeśli gra się tragedię, wystarczy, że publiczność zaczyna to oglądać (a to się czuje), wtedy już na starcie jest dobrze, a później można próbować tę



widownię jakoś zauroczyć. Ale jeżeli gra się farsę czy komedię i nie ma oczekiwanej reakcji rozbawienia, to się lody piętrzą, człowiek się spina. I to chyba jest problem farsy: trudniej ją grać, bo efekty są namacalne. Wbrew pozorom wcale nie tak łatwo kogoś rozbawić. Wiedzą to również kabareciarze. Niby wszyscy wiedzą na czym dowcip polega, ale nie każdemu się udaje rozbawić publiczność – mówi T.P. Łomnicki.

POMAGA NAWET WSZECHŚWIAT

– Pamiętam jeszcze z czasów szkolnej teatralnej uwagi Krystiana Lupy, że jeżeli aktorzy dobrze grają, jeżeli jest skupienie, napięcie, i to coś nienamacalnego, to cały wszechświat pomaga. To znaczy, że nawet jeśli w trakcie spektaklu wydarzy się coś nieplanowanego, np. przeleci samolot, to stanie się to w takim momencie, że będzie pasować, a nie odwrotnie. Mam nadzieję, że w „Prywatnej klinice” nam się to udało. Na końcowy efekt złożyło się wiele czynników: nasza solidna praca, dowcipy w tekście, dobrze zagrane komiczne sytuacje... – dodaje T. P. Łomnicki.

SFORSOWANY GŁOS I ŁÓŻKO

– Ja rzeczywiście nie czułem się najlepiej podczas premiery. Ale każde wyjście przed publiczność to ogromna dawka adrenaliny i wielkie napięcie... Mogę być – może nie najlepszym, ale jednak – przykładem opowieści o aktorach umierających za kulisami, którzy wychodzą i po prostu grają, a później potrzebna jest im reanimacja – opowiada Łomnicki.

– Nie było tak źle – śmieje się Piotr

Pilitowski i przytacza opowieść o jednym z wielkich polskich aktorów, który wyszedł na scenę mając prawie 40 stopni gorączki. Wyszedł, zagrał i nikt się nie zorientował, że coś z nim nie tak. Napięcie było jednak tak ogromne, że potem prawie umierał. W moim przypadku był tylko problem głosowy – mieliśmy forsowny ostatni tydzień przed premierą. Ja w dodatku musiałem później wyjechać. Wracalem samochodem, włączyłem dmuchawę i się przegrzałem. W efekcie miałem problemy z gardłem.

– My tymczasem bardzo martwiliśmy się, by łóżko się nie zawaliło – uśmiecha się Beata Schimscheiner grająca główną rolę, czyli Harriet. – Jeszcze nie byłam w moim scenicznym życiu z tyloma panami na raz w łóżku. Zresztą na ogół jestem monogamistką, najczęściej żoną lub partnerką jednego pana. W teatrze jest to zwykle Andrzej Franczyk. Mam jednego męża w życiu prywatnym i jednego na scenie. A tu mam dwóch panów na raz, a i jeszcze trzeciego też...

UWAGA! SPADAJĄ SPÓDNICE

– Najśmieszniejsza sytuacja, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła, dotyczyła mojej spódnicy. To było w „Poskromieniu Złośnicy” w reż. Jerzego Stuhra. Ja wisiałam wysoko na sznurze, a koleżanka mnie ciągnęła. Oczywiście było to odpowiednio przygotowane. Miałam na sobie taką

ogromną halkę na fiszbinach, to był mój kostium. I nagle trach... urwał się guzik. Halka, jak parasol, mogła polecieć z góry na widownię. Próbowaliśmy ją jakoś zatrzymać. Koleżanka śmiała się bardzo, sytuacja była dość komiczna. Tymczasem widzowie byli przekonani, że tak miało być. I w dodatku zastanawiali się: jak oni to zrobili, że ta halka spadła. Nie do końca widzę wyłupuje, że coś miało być inaczej – mówi Beata Schimscheiner. – Czasem jest tak, że ktoś, kto się śmieje, ma tak zaraźliwy śmiech, że nie jesteśmy w stanie sobie z tym poradzić. Jak wybrnąć? Mam być poważna, a naprawdę chce mi się śmiać. Któryś z kolegów kiedyś mi doradził, że w takiej sytuacji powinienam sobie powtarzać: trumna, trumna... Ale ja właśnie wtedy nie wytrzymałam i zaczęłam się śmiać.

– Jest w tym zawódzie coś, co się przenosi na widownię. Aktorzy, jeśli mają frajdę i grają z przyjemnością, to najczęściej sprawia to przyjemność także widzom. Można się bawić będąc także aktorem, a nie tylko widzem – dodaje Piotr Pilitowski.

– Trochę poplotkowaliśmy, ale



przede wszystkim chcielibyśmy serdecznie zaprosić na spektakl. Jeśli państwo chcą miło spędzić wieczór w teatrze, to zapraszam serdecznie – mówi sceniczna Harriet.

– Zapraszamy tym bardziej, że do szczęścia potrzebni są nam jedynie widzowie – dodaje Tadeusz P. Łomnicki. – Teatru nie da się robić bez widzów. Przecież to dla nich gramy.

A. GOROLL-KASZEWSKA

Gazeta Wyborcza - Kraków

KRAKÓW

DZ. Nr

36

12-02-2002

TEATR LUDOWY. „Prywatna klinika”

W czasach recesji

W dzisiejszych czasach, gdy kobieta postanowi zostać utrzymanką, musi mieć dwóch kochanków. Jeden nie podola finansowo

JOANNA TARGOŃ

Na utrzymanie uroczej Harriet łożą: właściciel kutrów Alek oraz pracownik agencji reklamowej (i hobbystyczny hodowca drobiu) Gordon. Obaj mają żony i rodziny, obaj też nic o sobie nie wiedzą. Harriet prowadzi bowiem ścisły harmonogram ich wizyt, strasząc obu purytańską mamą, która rzekomo nie zniosłaby świadomości, że córka żyje w grzechu. Ale to dopiero punkt wyjścia farsy Johna Chapmana i Dave'a Freemana. Pojawia się przyjaciółka Harriet, Anna (żona weterynarza z Nowej Zelandii), Gordon łamie nogę, poślizgnięszy się na dostarczonej przez Aleka rybce (musi więc zostać u Harriet), niespodziewanie wpada Alek. Harriet musi coraz szybciej i sprawniej budować sieć kłamstw – Gordon ma udawać męża Anny przed Alekiem, Alek – męża Harriet przed Gordonem. Na szczęście (mimo drobnych nieporozumień) Anna współpracuje z Harriet. Nawet nagłe przybycie żon Aleka i Gordona tudzież męża Anny nie dekonspiruje sytuacji. Obie dziewczyny tak zamotają, zamydlą, przekręcą i wykręcą, że wszystko skończy się dobrze. Choć roboty mają przy tym co niemiara.

Rzecz dzieje się w angielskim domku. Po lewej stronie mamy różową sypialnię z drzwiami do łazienki, po prawej – niebieski salonik z drzwiami do kuchni. Jest też mała sypialnia, której nie widzimy. Oczywiście, zgodnie z regułami gatunku, ważna jest koordynacja wejść i wyjść. Ale „Prywatna klinika” nie skupia się przesadnie na humorze, który nazwać można mechanicznym. Ważniejsze są tu-



Marta Bizoń, Małgorzata Krzysica, Beata Schimscheiner i Tomasz Schimscheiner

taj postaci, ich wyrazistość – i komedia omyłek, wprowadzana w ruch przez Harriet. Beata Schimscheiner jest w tej roli znakomita. Gra tę amoralną istotkę o małym, ale bystrym rozumku z lekkością i wdziękiem, obliczone na wywołanie śmiechu kwestie podaje naturalnie, nie ulegając pokusie znaczącego podkreślenia puent. Choć wiadomo, że wszystko skończy się dobrze, widz cały czas zastanawia się, czy (i jak) uda się jej wybrnąć z coraz bardziej skomplikowanych sytuacji. Przecież jest taka miła... Marta Bizoń (Anna), sztywna do połowy przedstawienia, stopniowo się rozkręca; gdy biega z dymiącą patelnią, a potem z serwetką na głowie i w różowym szlafrocuku udaje pielęgniarkę, jest już całkiem zabawna.

Świetni są panowie. Piotr Pilitowski (Gordon), fajłapowaty i strachliwy, Tadeusz P. Łomnicki (Alek) – groźny i prostacki (tylko czemu naśladuje głos Jerzego Fedorowicza?) oraz Tomasz Schimscheiner (Ryszard), pijane dziecko we mgle, nic nie pojmujące z bigosu, w który niechący wdepnęło. Każdy z nich konsekwentnie prowadzi postać, każdy ma też

popisowe momenty. Alek atak bólu kręgosłupa (jak on chodzi na czworakach, podpierając się a to barkiem na kółkach, a to butelką), weterynarz Ryszard – reanimowanie kołnierza z lisa (z pełną powagą bada mu puls, robi masaż serca i sztuczne oddychanie), Gordon – borykanie się w łóżku z coraz to nowymi niespodziewanymi osobami i bolącą nogą. Ale popisowe sceny (choć wymyślone i przeprowadzone tak, że widownia płacze ze śmiechu) nie są osobnymi etiudami. Wynikają z zarysowanych wcześniej charakterów.

Postaci w farsie kreślone są grubo, ale – aby całość śmieszyła – aktorzy muszą nadać im ludzkie rysy, bo tylko wtedy wytworzy się konieczne napięcie. A rośnie ono z każdą sceną, by wyładować się w końcowym szaleństwie. I o to przecież chodzi. Niby wszyscy o tym wiedzą, ale jakże trudno to wykonać. Tutaj się udało.

Teatr Ludowy, Duża Scena. John Chapman i Dave Freeman „Prywatna klinika”. Reżyseria – Jerzy Fedorowicz, scenografia – Elżbieta Krywsza, muzyka – Krzysztof Szwałgier, choreografia – Monika Myśliwiec. Premiera – 9 lutego 2002 r.

Prywatna klinika



Jeżeli chcecie się przekonać, co oznacza rzadko używane i niemodne dziś określenie „śmiali się ławą”, najlepiej wybrać się na spektakl „Prywatna klinika” wystawiany w Teatrze Ludowym.

Przedstawienie wyreżyserował **Jerzy Fedorowicz** na podstawie utworu „Prywatna klinika”, który jest dziełem amerykańskiej spółki autorskiej – **Johna Chapmana** i **Davea Freemana**.

Jak przystało na farsę zarówno tekst, tempo akcji, jak i rodzaj humoru współtworzą wulkan dowcipu, któremu nie sposób się oprzeć nawet najbardziej fundamentalnym ponurakom. Stąd trudno się dziwić, że spektakl co rusz przerywany był nie tylko erupcją śmiechu, lecz wręcz gremialnym rechotem. Ta swoista lawina, tocząc się z nieokiełznaną siłą przez kolejne rzędy widowni, skutecznie miażdżyła wszelkie troski, zmartwienia i kłopoty widzów, którzy skręcając się ze śmiechu w teatralnych fotelach, z trudem łapali powietrze jednocześnie ocierając strugi łez z policzków. Staraliśmy się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio tak doskonale bawiliśmy się w te-

atrze. Niestety, nie udało się, nie pamiętamy i wcale to nie jest efekt amnezji!

Dlatego też istnieją przynajmniej trzy powody, dla których reżyserowi spektaklu należą się słowa uznania.

Po pierwsze, za wybór, strzał w dziesiątkę. „Prywatna klinika” to z niewątpliwą wprawą, doskonale napisana farsa, zawierająca wszystkie pierwiastki charakterystyczne dla tego gatunku. Kolejny powód wynika z reżyserskiej rzetelności i wyczucia w procesie adaptacji przy przeniesieniu utworu na scenę. Jerzemu Fedorowiczowi udało się zachować w całości wszystkie odcienie waleń tej sztuki. Nie popadając w zbyt dużą fantazję, pozostał przy prostocie rozwiązań koncepcji reżyserskich. I po trzecie, dobór obsady aktorskiej, a szczególnie powierzenie roli Ryszarda **Tomaszowi Schimscheinerowi**, przesądziło o sukcesie tegoż spektaklu. Dane nam było

oglądać wiele sztuk, a w nich postaci, w które wcielał się pan Tomasz. Stąd nieobce nam są umiejętności warsztatowe tego aktora, jednak to, czego dokonał w roli Ryszarda, wprawiło nas w osłupienie. Swoją kreacją zdyskredytował scenicznych partnerów, w roli Ryszarda weterynarza jest po prostu genialny. Zbyt ubogi w sensie plastycznym jest język, aby móc oddać w pełni sceniczne poczynania aktora, tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć! Życzymy dalszych tak niezwykle udanych inscenizacji, zwłaszcza że w naszym odczuciu właśnie takich pozycji repertuarowych oczekują widzowie poszukujący uśmiechu wśród smutnej i szarej codziennej rzeczywistości. Scenografia według projektu **Elżbiety Krywskiej** oraz muzyka **Karola Szwajgiery** doskonale komponują całość scenicznego obrazu. Najbliższe spektakle odbędą się 11, 12 i 13 października o godz. 18.00 – polecamy.

BOGDAN ZABIEGAJ
MAREK ZABIEGAJ

Doaskelwa 43/50 2002

plusy i minusy

prywatna klinika

Teatr Ludowy w Krakowie
John Chapman, Dave Freeman
reżyseria: Jerzy Fedorowicz, scenografia: Elżbieta Krywsza,
premiera: 9 lutego 2002

Plusy:

1. Jak na dobrą farsę przystało, intryga *Prywatnej kliniki* jest porządnie zagmatwana. Jednak dopiero mistrzowskie wykonanie nadaje mu wszelkie referencje, by pretendowała do miana najlepszego farsowego przedstawienia w Krakowie kilku ostatnich sezonów. Harriet, mężatka, dla której „aż jeden” kochanek to „tylko jeden” kochanek, w swoim po mieszczańsku urządzonym mieszkanku (w wyniku tysiąca różnych nieporozumień i kłamstewek bohaterki, służących głównie dla ukrycia prawdziwego oblicza przed kochankami i ich żonami – staje się ono tytułową prywatną kliniką) wywołuje istną burzę w szklance wody. Próby wyprostowania i wyjaśnienia wszystkich sytuacji powodują tylko dalsze ich zawikłanie, coraz bardziej zmuszając do śmiechu i tak rozbowionego już widza.

2. Beata Schimscheiner gra Harriet z niezwykłą werwą i niewątpliwym talentem komicznym, ale największy urok spektaklu tkwi w epizodach. Kto twierdzi, że nie śmiesz go farsy, na pewno zmieniliby zdanie, widząc na scenie pijanego lekarza weterynarii reanimującego sztucznego lisa. Rola Tomasza Schimscheineira jest bez wątpienia perelką – ubrany w wymięty garnitur, uczesany jak na bywalca tanich barów przystało, nie może się odnaleźć w zapętlonej przez dwie kobiety intrydze. Po scenie chodzi jak w amoku i odrobinę refleksu okazuje właśnie w stosunku do owego lisa, którego nie uratuje już nawet metoda usta-usta, ani zanurzenie pyszczka w szklance z wódką.

3. Na *Prywatnej klinice* widzowie dosłownie pękają ze śmiechu. Niezwykła pewność siebie trzech oszukiwanych kochanków, dezorientacja ich żon, łatwo poddających się prowadzonej przez Harriet grze, oryginalne, aczkolwiek miejscami absurdałne pomysły głównej intrygantki i jej mimowolnej współpracownicy wyciskają łzy z oczu, a wesołość nie opuszcza widzów nawet po wyjściu z teatru.

Minusy:

1. Zbytne nagromadzenie gagów w niektórych momentach powoduje efekt wymuszonego śmiechu i pozwala przewidzieć działania aktorów. Na szczęście takich momentów jest niewiele.

Plusy:

1. Tekst Januszewskiej to mądra, zabawna i wzruszająca opowieść o dorastaniu, odpowiedzialności i odwadze. Przygody tygrysa podczas podróży w poszukiwaniu utraconych pasków opowiadana jest na tyle zgrabnie i dowcipnie, że nauka z nich płynąca („nie myśl tę zatrzymaj: o innych pamiętaj odważny, o sobie zaś nie staję się nachalnym moralizowaniem).

2. Ładna oprawa plastyczna. Sympatyczne, kolorowe lalki, wrażenie ożywionych zabawek z dziecięcego pokoju. Prosta, ale i funkcjonalna scenografia: niewielką estradkę zamyka prosty, którym widnieje kolorowy, jakby dziecięcą ręką skreślony. Przesuwany w trakcie wędrówki Pietrka, pokazuje różne miejsca (dom tygrysa, miasto, dom lekarza). Przestrzeń zostaje połączona również dookoła estradki, na wyciągnięcie ręki od widza. Ryzyko i lalki wchodzą w bliską relację z dziećmi. Zbliżające się do nich wielkie tygrysy (aktorzy w maskach) czy krokodyl budzą lęk i strach (widoczne w reakcjach dzieci). Każda z lalek ma wyrazisty charakter.

3. Aktorzy animujący lalki i zmieniający dekorację są całkiem dojrzałymi, jednak jawna teatralność nie przeszkadza, by wciąż w tok opowiadanej historii. Przedstawienie jest ciekawe zarówno dla najmłodszych, zaabsorbowanych przygodami bohatera oraz dla dorosłych, ciekawych się iluzji teatru, jak i dla dorosłego widza, odczytującego teatralną konwencję.

4. Ciekawe i efektowne pomysły plastyczne – jak ten, w którym Indianin, rozkładając ramiona, ukazuje się z tyłu (mieniem (lalki Indian są naszyte po wewnętrznej stronie płaszczyzny).

5. Zaangażowanie i niezwykła radość grania sprawiają, że przedstawienie staje się ciepłym, przyjacielskim spotkaniem lalkarzy z widzami. Odnosimy wrażenie, że aktorzy znają, lubią dziecięcą psychikę i wiedzą, jak sprostać jej oczekiwaniom.

Katarzyna Wilk

Plusy:

1. Bardzo dobra, konsekwentna w swej wieloznaczności rola Andrzeja Grabowskiego. Poglębiony psychologicznie, staje się widzowi jako słaby, uciekający przed rzeczywistością w snych obsesji człowiek, który – z chorobliwej obawy przed śmiercią – wymusza na otoczeniu zainteresowanie: krzykiem, nieporadnością. Równocześnie Grabowski tworzy postać nieśmieszna, ale często farsowy, gruby komizm szczęśliwie nie

wesele. sceny

Teatr w Krakowie
w Wyspiański
na Jasło-Sroka,
reżyseria: Jerzy Jędrzejak,
premiera: 15 marca 2002

Plusy:

1. Realizator pokazał, że *Wesele* może być dobrym ćwiczeniem dla młodych aktorów. Różnorodne charaktery mieszkańców Bronowic i krakowskich gości pozwalają stworzyć wyraziste i ciekawe role. Czepiec grany przez Sławomira Popka jest zawadiacki i pełen pasji. Pan Młody (Sebastiana Pałka) – rozanielony i roz-

Minusy:

1. Niestety, realizator nie próbował nawet zaproponować niczego nowego, by odpowiedzieć na pytanie, jak powinno wyglądać dzisiejsze *Wesele*. Pociął dramat, wybierając „najważniejsze” sceny i wątki, które podał widzowi w ekspresowym tempie oraz w kolorowej